

KAREL ČAPEK

FABRYKA
ABSOLUTU

Karel Čapek

Fabryka Absolutu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843514

Fabryka Absolutu:

Аннотация

Jeżeli Bóg jest wszędzie, to czy można go stamtąd wyekstrahować? Inżynier Marek jest wynalazcą technologii, która ze spalanej materii wzywa Absolut w stanie czystym. W pobliżu ludzie zaczynają prorokować i uzdrawiać, a kiedy przedsiębiorczy kapitalista, pan Bondy, rozpoczyna masową produkcję Karburatorów, sprzedawcy masowo rozdają towar za darmo, pracownicy banków przekazują potrzebującym pieniądze, i tylko chłopci pozostają odporni na epidemię altruizmu. Kościół początkowo się wzbrania, ale ostatecznie kapituluje, zawiera umowę z Absolutem i uroczyście organizuje jego deifikację. Tymczasem uwolniony Absolut szuka sobie pracy. Można by pomyśleć, że powinno to rozwiązać wszystkie problemy ludzkości... W swojej antyutopii z 1922 r. Karel Čapek ukazuje szeroką panoramę kapitalistycznego społeczeństwa: fabrykantów, dziennikarzy, duchownych, naukowców i zwykłych robotników. Historia oddziaływania przedziwnego wynalazku stanowi kanwę, na tle której wyraziście zarysowuje się krytyka stosunków społecznych, niosąca głęboko humanistyczne przesłanie.

Содержание

1. Ogłoszenie	4
2. Karburator	11
3. Panteizm	18
4. Boska piwnica	26
5. Pan biskup	34
6. Meas	43
7. Goon	51
8. Na bagrownicy	58
Конец ознакомительного фрагмента.	62

Karel Čapek

Fabryka Absolutu

1. Ogłoszenie

W Nowy Rok 1943 pan G. H. Bondy, prezes zakładów MEAS, czytał sobie gazetę, jak zwykle, trochę niegrzecznie przeskoczył wiadomości wojenne, uchylił się od czytania o przesileniu gabinetowym i na pełnych żaglach (tak, na pełnych żaglach, bo „Gazeta Ludowa”¹ już dawno powiększyła swój format pięciokrotnie i płachty jej nadawałyby się nawet do żeglugi morskiej) wpłynął na obszary gospodarki narodowej. Krążył przez chwilę tam i sam, po czym zwinął żagle i pozwolił kołysać się marzeniom.

„Kryzys węglowy – pomyślał – wyczerpanie kopalń; ostrawskie zagłębienie przerywa eksploatację na całe lata. Tam do diabła, to ci heca! Trzeba sprowadzać węgiel górnośląski i proszę, sami sobie policzcie, jak to podraża nasze wyroby, a potem gadajcie o konkurencji! Leżymy na kupie i jeżeli Niemcy podwyższą taryfy, to po prostu możemy zamknąć budę. I akcje

¹ „Gazeta Ludowa” – w oryginale i dalej w tekście: „Lidové noviny”, czeski dziennik wychodzący w latach 1893–1952, reaktywowany w 1987 i wychodzący nadal w XXI w. Na początku XX w. wśród jego redaktorów byli m.in. Karel Čapek i jego brat Josef Čapek (1887–1945). [przypis edytorski]

Zivno padają. O Boże, cóż to za nędzne stosunki! Jakie ciasne, idiotyczne, jałowe stosuneczki! Diabli nadali z kryzysami!”.

Pan G. H. Bondy, prezes zarządu, zamyślił się. Coś go nieustępliwie irytowało. Zaczął doszukiwać się tego i znalazł wreszcie na ostatniej stronie złożonej gazety. Było to słówko ZEK. Właściwie tylko cząsteczka słowa, bo gazeta była akurat w tym miejscu złożona, na literze z. Ale właśnie ta połowiczność wyrazu narzucała mu się dokuczliwie. „No więc co? Jaki tam znowu ZEK? Pewno obrazek, pomyślał pan Bondy. A jak nie, to zarazek, bohomazek? Azotówki też spadły paskudnie. Straszliwa stagnacja. Malutkie, śmiesznie malutkie stosunki! – Tylko kto tam, do diabła, ogłasza jakiś obrazek? Na pewno jakiś bohomazek, jak wszystkie dzisiejsze obrazki. Na pewno.

Trochę nadąsany pan G. H. Bondy rozłożył gazetę, aby się pozbyć dokuczliwego wyrazu. Ale teraz znikł mu zupełnie w szachownicy najróżniejszych ogłoszeń. Gonił swój zgubiony wyraz szpalta za szpalta; ukrył się, gałgan, z jakąś irytującą złościwością. Pan Bondy śledził go systematycznie od lewej strony ku prawej, od dołu ku górze. Idiotyczne! Obrazek, zarazek czy bohomazek – znikł jak kamfora.

Pan G. H. Bondy nie poddał się tak łatwo. Ponownie złożył gazetę i oto nienawistne ZEK wyskoczyło samo na skraju gazety. Położył więc na nim palec, szybko rozłożył gazetę i czytał... Pan Bondy zaklął z cicha. Chodziło o bardzo skromne, bardzo powszednie ogłoszenie:

WYNALAZEK

bardzo korzystny, nadający się dla każdej fabryki, jest z przyczyn osobistych natychmiast do sprzedania.

Zapytania kierować do inż. R. Marka

Brzewnow² 1651.

...No tak! Warto było się trudzić!” – pomyślał pan G. H. Bondy. – „Pewno jakieś patentowane szelki; jakieś oszustewko, albo idiotyczna zabaweczka, a ja tymczasem tracę na to całe pięć minut! I ja także już idiocieję. Nędzne stosunki. I żadnego rozmachu nie ma! Żadnego!”

Prezes Bondy przesiadł się teraz na fotel na biegunach, aby tym wygodniej wykosztować całą cierpkość nędznych małych stosunków. No tak. MEAS ma dziesięć fabryk i trzydzieści trzy tysiące robotników. MEAS prowadzi w żelazie, MEAS jest bezkonkurencyjny w kotłach. Ruszta MEAS to marka światowa. Ale po dziesiątku lat pracy, mój Boże, gdzie indziej dałoby się osiągnąć o ileż więcej!...

G. H. Bondy wyprostował się nagle. „Inżynier Marek, inżynier Marek! Zaraz, zaraz! Czyżby to był ten rudy Marek, jakże mu tam było? Rudolf, Dolfik Marek, kolega Dolfik z politechniki? Istotnie, w ogłoszeniu jest: inż. R. Marek. Dolfik, ty łobuzie, to ty tak? Czy to możliwe? O biedaku, ładnieś się dorobił! Żeby sprzedawać »bardzo korzystne wynalazki«, ha, ha! »z przyczyn osobistych«. Znamy takie »przyczyny osobiste«. Brak ci forsy, prawda? Chciałbyś złapać jakiegoś przemysłowego wróbla na

² *Brzewnow*, czes. *Břevnov* – dziś dzielnica Pragi, w czasie powstawania *Fabryki Absolutu* miasteczko pod Pragą. [przypis edytorski]

jakiś psunabudesowy³ patent. No, zawsze miałaś kielbkie we łbie, zawsze ci się zdawało, że wywrócisz świat do góry nogami. Ech, kolego kochany, gdzie to się pozapodziwowały nasze światoburcze myśli. Gdzie jest nasza wspaniała, szarlatańska młodość!”

Prezes Bondy wyciągnął się wygodnie. „A może to naprawdę Marek?” – myślał. „Ale Marek był to łeb naukowy. Troszkę może gaduła, no tak, ale było w tym łobuzie coś genialnego. Miał myśli. Ale poza tym straszliwie niepraktyczny człowiek. Właściwie kompletny fujara. Jakie to dziwne, że nie jest profesorem – myślał dalej pan Bondy. – Przez lat dwadzieścia nie spotkałem go ani razu. Bóg raczy wiedzieć, co robił przez cały ten czas. Może całkiem zszedł na psy. Na pewno zszedł na psy. Mieszka aż w Brzewnowie, biedaczek... i utrzymuje się z wynalazków! Straszny upadek!”

Pan Bondy próbował przedstawić sobie nędzę upadłego wynalazcy. Udało mu się wymyślić sobie straszliwie kudłatą, nieczesaną głowę. Jako tło, ściany są ponure i papierowe jak w filmie. Mebli nie ma; w kącie materac, na stole nędzny model ze szpilek, gwoździ i zużytych zapalek, przez brudne okienko widać podwórko. I w tę niewypowiedzianą nędzę wkracza gość w futrze. „Idę obejrzyć pański wynalazek”. Ślepowy wynalazca nie poznaje starego kolegi; pokornie chyli kudłatą głowę, rozgląda się, gdzie by tu usadowić rzadkiego gościa, a potem,

³ *psunabudesowy* – przymiotnik utworzony od określenia rzeczy mało wartej, według którego nadaje się ona tylko **psu na budę**. W oryginale czeskim w tym miejscu: *usmolený*. [przypis edytorski]

dobry Boże! – skostniałymi palcami próbuje wprawić w ruch swój żaloszny wynalazek, jakieś śmieszne perpetuum mobile, i nieśmiało gada, gada jak to powinno chodzić, jak by to na pewno, całkiem na pewno, chodziło, gdyby, gdyby miał – gdyby mógł kupić... Gość w futrze rozgląda się po ubozutkim stryszku i nagle wyjmuje z kieszeni skórzany portfel i kładzie na stole tysiączkę, jeszcze jedną („Doszć będzie!” – przeraził się pan Bondy swą rozrzutnością, ale kładzie jeszcze jedną). No, tysiączka wystarczyłaby najzupełniej – myśli coś wewnątrz pana Bondy'ego – przynajmniej na razie... „Masz pan tu na dalsze prace, panie Marku. Nie, nie, do niczego pan nie jest wobec mnie zobowiązany. Co? Kim jestem? To wszystko jedno. Dajmy na to, że jestem pańskim przyjacielem”...

Pan Bondy był bardzo zadowolony z siebie i wzruszony tym obrazem. „Poślę do Marka swego sekretarza” – postanowił. – „Natychmiast, albo zaraz jutro. A co będę robił dzisiaj? Jest święto, do fabryki nie pójdę. Jestem właściwie wolny. Ach te małe stosunczki! Żeby przez cały dzień nie mieć nic do roboty! A może bym ja sam dzisiaj”...

G. H. Bondy zawahał się. Byłaby to całkiem niezwykła przygoda, gdyby poszedł popatrzeć z bliska na nędzę dziwaka w Brzewnowie.

„Ostatecznie byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi! I wspomnienia mają przecież także swoje prawa. Pojadę!” – zdecydował pan Bondy i pojechał.

Trochę się potem nudził, gdy jego samochód ślizgał się

po całym Brzewnowie, szukając najędźniejszego domku pod numerem 1651. Musiał nawet dowiadywać się w policji.

– Marek? Marek? – powtarzał inspektor, grzebiąc w swej pamięci. – To chyba będzie inżynier Rudolf Marek, Marek i Spółka, fabryka żarówek, ulica Mixa 1651. – Fabryka żarówek? – Prezes Bondy był rozczarowany, a nawet rozgoryczony. Jak to, Rudolf Marek nie mieszka na strychu? Jest fabrykantem i „z przyczyn osobistych” sprzedaje jakiś patent! Ej, kolego, to zalatuje plajtą, jakem Bondy.

– Nie wie pan, jak się panu Markowi powodzi? – zapytał jakby od niechcienia inspektor policji, gdy sadowił się w samochodzie.

– O, znakomicie! – odpowiedział inspektor. – Fabryka bardzo niczego sobie. Sławna firma – dodał pełen dumy lokalnego patriotyzmu. – Bogaty pan – objaśnił dodatkowo – i strasznie uczony. Ile on robi eksperymentów!

– Ulica Mixa! – zawołał pan Bondy, zwracając się do szofera.

– Trzecia ulica w prawo! – wołał inspektor za samochodem.

I oto pan Bondy dzwoni u drzwi mieszkalnego skrzydła całkiem przyzwoitej fabryki. Dokoła czyściutko, zagonki i klomby, na murze dzikie wino.

– Hm – medytował pan Bondy – jakiś taki humanitaryzm i reformizm tkwił w tym Marku już zawsze.

Lecz oto na spotkanie gościa wychodzi na schody sam Marek, Rudolf Marek. Jest bardzo chudy i poważny, wzniosły jakiś czy co. Bondy czuje jakieś ssanie koło serca, że Marek nie

jest już taki młody, jak był, ani taki straszliwie kudłaty, jak ów wyobrażany wynalazca, że jest całkiem inny niż wszystko, o czym pan Bondy myślał, a nawet niełatwy do poznania. Ale zanim jeszcze zdołał uświadomić sobie w pełni swoje rozczarowanie, inżynier Marek wyciąga do niego rękę i mówi z cicha:

– No, przychodzisz nareszcie, kolego! Wyglądałem cię!

2. Karburator

– Wyglądałem cię! – powtórzył Marek, usadowiwszy gościa w skórzanym klubowym fotelu. Za żadne skarby świata nie byłby się Bondy przyznał do swych wyobrażeń o upadłym wynalazcy.

– Widzisz – zmuszał się po trosze do radości – to taki przypadek! Dzisiaj rano przyszło mi na myśl, że już dwadzieścia lat się nie widzieliśmy! Pomyśl, przyjacielu, dwadzieścia lat!

– Hm – mruknął Marek. – Więc ty chcesz kupić mój wynalazek?

– Kupić? – zawahał się Bondy. – Doprawdy sam nie wiem... Nawet o tym nie myślałem. Chciałem się z tobą zobaczyć i...

– E, daj spokój i nie udawaj! – przerwał Marek. – Ja wiedziałem, że przyjdiesz. Za taką rzeczą warto pochodzić. Na pewno. Taki wynalazek jest w sam raz dla ciebie. Z tego można zrobić... – machnął ręką, odchrząknął i mówił spokojnie.

– Wynalazek mój, który ci zaprezentuję, jest daleko większym przewrotem w świecie techniki, niż wynalazek maszyny parowej Watta. Jeśli mam być zwięzły w określeniu jego istoty, to wyrażając się teoretycznie, chodzi o całkowite wykorzystanie energii atomowej...

Bondy ziewnął ukradkiem.

– A co robiłeś w ciągu tych dwudziestu lat?

Marek spojrział na niego trochę zdziwiony.

– Wiedza współczesna twierdzi, że materia, to jest

atomy, składają się z ogromnej masy jednostek energii, atom to właściwie skupisko elektronów, czyli najmniejszych elektrycznych cząstek...

– To jest strasznie interesujące – przerwał mu Bondy. – Wiesz sam, że w fizyce byłem zawsze słaby. Ale ty, Marku, wyglądasz nietęgo! W jaki sposób doszedłeś właściwie do tej zabaweczki, to jest, właściwie, do tej fabryki?

– Ja? Zupełnie przypadkowo. Wynałazłem mianowicie całkiem nowy rodzaj drucików do żarówek... Ale to głupstwo, to mi tak wlało w ręce całkiem przypadkowo. Bo ja już od lat dwudziestu pracuję nad zagadnieniem spalania materii. No powiedz sam, kolego, jakie jest największe zagadnienie współczesnej techniki?

– Handel – odpowiedział prezes Bondy. – Ożeniłeś się?

– Jestem wdowiec – odpowiedział Marek i zerwał się wzburzony. – Handel! Nie handel, rozumiesz? Spalanie! Doskonałe wykorzystanie energii cieplnej, która jest w materii! Pomyśl, że z węgla wypalamy zaledwie jedną stutysięczną tego, co moglibyśmy wypalić, gdyby... Rozumiesz?

– Owszem, węgiel jest strasznie drogi – zauważył pan Bondy bardzo mądrze.

Marek usiadł i rzekł poirytowany:

– Jeśli nie przyszedłeś tu z powodu mego Karburatora, to możesz sobie iść, mój Bondy.

– Nic, nic, mów dalej – rzekł pan Bondy wielce pojednawczo. Marek wsparł głowę na rękę.

– Dwadzieścia lat nad tym pracowałem – wyrwało mu się z piersi ciężkie westchnienie – a teraz sprzedam to pierwszemu lepszemu, kto przyjdzie! Moje ogromne marzenie! Największy z dotychczasowych wynalazków! Naprawdę, Bondy, to straszna rzecz.

– Z pewnością, jak na nasze małe stosuneczki! – przyświadczył Bondy.

– Nie, to jest w ogóle straszna rzecz. Pomyśl tylko, że możesz wykorzystać atomową energię całkowicie, bez reszty!

– Aha! – zawołał prezes Bondy. – Będziemy palić atomami. Czemu nie, owszem, można atomami. Bardzo tu ładnie u ciebie, Dolfiku. Małe to, ale ładne. Ilu masz robotników?

Marek nie słuchał.

– Wiesz – mówił w zamyśleniu – to na jedno wychodzi, czy powiesz: wykorzystanie energii atomowej, czy też: spalanie materii. Albo rozbicie materii. Można powiedzieć i tak, i tak.

– Ja jestem za spalaniem – rzekł pan Bondy – słowo to jest takie jakieś cieplejsze.

– Ale ściślej jest „rozbicie materii”. Wiesz, rozbić atom na elektrony i te elektrony zaprząć do roboty. Rozumiesz?

– Najzupełniej – zgodził się pan prezes. – Naturalnie, że należy je zaprząć!

– Pomyśl na przykład, że dwa konie ciągną z całej siły dwa końce liny w przeciwnych kierunkach. Wiesz, co to znaczy?

– Pewno jakiś nowy sport, nie? – domyślał się pan Bondy.

– Nie sport, ale spokój. Konie ciągną, ale nie ruszają z miejsca.

Ale gdybyś przeciął linę —

...to konie się zwałą na ziemię! – zawołał pan G. H. Bondy z zapalem.

– Nie, ale rozpędzą się w różne strony, staną się energią wyzwoloną. A teraz uważaj: materia to takie sprzęgnięte konie. Przetnij więź, która wiąże z sobą elektrony, a one —

– ...się rozpędzą w różne strony.

– Owszem, ale my możemy schwytać je i zaprzęgnąć do roboty, rozumiesz? Albo pomyśl tak: spalamy na przykład kawałek węgla. Otrzymujemy z tego trochę ciepła, ale prócz tego także popiół, gaz węglowy i sadze. W ten sposób materia nie ginie, rozumiesz?

– Rozumiem. Może zapalisz cygaro?

– Nie zapalę. Ale ta materia, która pozostaje, ma jeszcze masę nie zużytej energii atomowej. Gdybyśmy zużyli wszystką w ogóle atomową energię, to zużylibyśmy także atomy. Jednym słowem: materia zniknęłaby.

– Aha. Teraz już rozumiem.

– Jednym słowem jest tak, jak gdybyśmy źle mełli zboże, jak gdybyśmy omełli delikatną górną warstewkę ziarna, a resztę byśmy wyrzucili, jak wyrzucamy popiół. Przy dokładnym przemiale nie pozostaje z ziarna nic, albo prawie nic, prawda? I tak samo przy dokładnym spaleniu materii nie pozostaje z materii nic, albo prawie nic. Wymiele się całkowicie. Zużyje się. Powróci w swoje pierwotne nic. Wiesz, materia potrzebuje straszliwą masę energii na to, aby istnieć. Odbierz jej istnienie,

przymuś ją, aby przestała być, a wyzwolisz ogromną masę siły. Tak się rzeczy mają, przyjacielu.

– Aha. To jest całkiem niezłe.

– Pflüger na przykład oblicza, że kilogram węgla zawiera dwadzieścia i trzy biliony kalorii. Sądzę, że Pflüger przesadza.

– Stanowczo.

– Ja sam doszedłem teoretycznie do siedmiu bilionów. Ale i to znaczy, że jeden kilogram węgla przy doskonałym spaleniu mógłby pędzić przyzwoitą fabrykę w ciągu kilkuset godzin.

– Tam do diabła! – zawołał Bondy i zerwał się na równe nogi.

– Dokładnej liczby godzin ci nie podam. Ja już od sześciu tygodni spalam pół kilograma węgla przy obciążeniu trzydziestu kilogramometrów i wierz mi, kolego, maszyna pędzi, i pędzi, i pędzi – wyszeptał Marek blednąc.

Prezes Bondy głaskał w zakłopotaniu brodę, gładką i krągłą jak dziecięcy zadeczek.

– Słuchaj, przyjacielu – zaczął ostrożnie – jesteś, zdaje się, troszeczkę tego ten, przepracowany, że tak powiem.

Marek machnął ręką.

– Et, nic takiego... Gdybyś się choć trochę orientował w fizyce, objaśniłbym ci swój Karburator⁴, w którym spalam

⁴ *karburator* – nazwa ta, jaką inżynier Marek dał swemu atomowemu kotłowi, jest zupełnie nieprawidłowa. Jest to jeden z pożałowania godnych następstw tego, że technicy nie uczą się łaciny. Lepszą nazwą były komburator, atomkettle, carbowatt, disgregator, motor M. Bondymover, Hylergon, Molekularstoffzersetzungskrafttrad, E. W. i inne podobne nazwy, które były później proponowane. Przyjęła się, oczywiście, nazwa najmniej właściwa. [przypis autorski]

węgiel. Ale to cały wielki rozdział współczesnej fizyki. Zresztą sam zobaczysz wszystko w piwnicy na dole. Wsypałem pół kilograma węgla w maszynę, a potem ją zamknąłem i kazałem notarialnie opieczetować wobec świadków, żeby nikt inny nie mógł dosypać węgla. Idź i popatrz na to. Idź już, idź! I tak nic nie zrozumiesz, ale idź do piwnicy. Człowieku, nie marudź i idź!

– Jak to, a ty nie pójdziesz? – pytał zdziwiony Bondy.

– Nie, idź sam. I uważaj, przyjacielu, nie siedź tam zbyt długo...

– Dlaczego? – pytał Bondy podejrzliwie.

– Tak sobie. Możesz sobie pomyśleć na przykład, że... że tam niezdrowo. I zapal sobie lampkę. Przełącznik jest tuż przy drzwiach. Ten hałas w piwnicy, to nie od mojej maszyny, bo ona pracuje całkiem cicho, równo, nie wydaje żadnego zapachu... Tam huczy tylko, hm, taki, uważasz, wentylator. No więc idź, a ja tu poczekam na ciebie. Potem mi powiesz...

*

Prezes Bondy schodzi do piwnicy zadowolony ponieważ, że pozbył się choć na chwilę tego wariata (przecie nie ulega wątpliwości, że to ciężki wariat) i myśli nad tym, jak by tu zwiać co prędzej. Ale patrzajmyż⁵: piwnica ma uszczelnione ogromnie grube drzwi, zupełnie takie, jakie

⁵ *patrzajmyż* – dziś raczej: patrzmy (1 os. lm. tr.rozkaz.); na końcu wyrazu dodana została partykuła wzmacniająca -ż. [przypis edytorski]

widuje się w pancernych kasach wielkich banków. Dobrze, zapalmy lampkę. Przełącznik jest tuż przy drzwiach. W betonowym sklepieniu, czyściutkim niby cela klasztorna, leży na betonowych podbudówkach olbrzymi miedziany wał. Jest całkowicie zamknięty ze wszystkich stron, tylko u góry jest kratka opatrzona pieczęciami. W maszynie ciemno i cisza. Z maszyny prawidłowym i ślizgowym ruchem wybiega tłok obracający z wolna ciężkie koło rozpedowe. To wszystko. Tylko wentylator terkocze w piwnicznym oknie niezmordowanym ruchem.

Może to przewiew od tego wentylatora, czy co... Pan Bondy czuje na czole jakiś osobliwy muskający wiew i ma uczucie, jakby mu się jeżyły włosy. A teraz jest mu tak, jakby był unoszony skroś⁶ bezmierny przestwór. A teraz, jakby leciał, nie czując własnego ciężaru. G. H. Bondy klęczy w stanie jakiegoś straszliwego uczucia błogości, chciałby krzyczeć i śpiewać, wydaje mu się, że słyszy szum niezmiernych i niezliczonych skrzydeł. Ale nagle ktoś chwytą go mocno za rękę i wyciąga z piwnicy. To inżynier Marek. Ma na głowie kukłę, czy skafander jak nurek, i ciągnie Bondy'ego po schodach na górę. W przedpokoju zdejmuje metalową kukłę i ociera pot perlący mu się na czole.

– Był najwyższy czas – westchnął głęboko wzburzony.

⁶ skroś – przez, poprzez. [przypis edytorski]

3. Panteizm

Prezes Bondy miał takie uczucie, jakby śnił. Marek ułożył go z macierzyńską pieczołowitością w fotelu i szukał koniaku.

– Masz, wypij to zaraz – mówi podając mu rozdygotaną ręką kieliszek. – Prawda, że i tobie zrobiło się źle?

– Przeciwnie – mówi jakimś niepewnym głosem Bondy. – Było to takie piękne, człowieku, że... Było mi tak, jakbym latał, czy co?

– Tak, tak – rzekł Marek szybko – właśnie o tym mówię. Jakbyś latał, albo w ogóle jak gdybyś się wznosił, prawda?

– Ogromnie miłe uczucie – stwierdził pan Bondy. – Zdaje się, że to nazywają natchnieniem. Jakby tam było coś – coś takiego...

– ... świętego? – pytał Marek niepewnym głosem.

– Może. A nawet całkiem na pewno, kolego. Ja, uważasz, nigdy nie chodzę do kościoła, nie, w ogóle nie chodzę, ale w tej – twojej piwnicy było mi tak, jakbym był w kościele. Proszę cię, co ja tam robiłem?

– Klęczałeś – warknął Marek z cierpkim wyrzutem i zaczął chodzić po pokoju.

Prezes Bondy w zakłopotaniu głaskał się po łysinie.

– To dziwne. Co ty gadasz! Że niby ja klęczałem? I proszę cię, co właściwie, co w tej piwnicy... tak dziwnie oddziaływa⁷

⁷ *oddziaływa* – dziś częstsza forma 3 os. lp. cz. ter.: *oddziałuje*. [przypis edytorski]

na człowieka?

– Karburator – warknął Marek, zagryzając wargi. Twarz jego wydawała się jeszcze chudsza i jakby sinawa.

– Tam do diabła – dziwił się Bondy. – Ale co i jak?

Inżynier Marek wzruszył tylko ramionami i dalej chodził po pokoju z opuszczoną głową.

G. H. Bondy przyglądał mu się z dziecięcym podziwem. – Marek to wariat – myślał. – Ale co się dzieje z człowiekiem w tej jego piwnicy? Taka słodka błogość, taka ogromna pewność siebie, przestach, przytłaczająca pobożność, czy coś takiego. Pan Bondy powstał i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek.

– Wiesz, Marku, co? Już wiem.

– Co wiesz? – wyrwało się Markowi. Przestał chodzić.

– O tej twojej piwnicy. Już wiem, skąd się biorą te dziwne stany psychiczne. Pewno jakieś zatrucie, tak?

– Zatrucie na pewno – roześmiał się Marek wściekle.

– Zaraz to sobie pomyślałem – oświadczył Bondy i od razu się uspokoił. – Więc ten twój aparat wytwarza coś takiego w guście ozonu, prawda? Albo raczej jakiś gaz trujący. I gdy się człowiek tego nawdycha, to potem... troszeczkę go to... przytruje... czy może rozweseli. Prawda? Stanowczo, kolego, nic tu nie ma innego, tylko gazy trujące. Wyzwalają się niezawodnie przez spalanie węgla w tym... w tym twoim Karburatorze. Pewno jakiś gaz świetlny, albo gaz rozweselający albo może fosgen⁸...

⁸ *fosgen* – COCl_2 , silnie trujący gaz, powstający z reakcji tlenku węgla z chlorem, wykorzystywany w produkcji barwników i tworzyw sztucznych; w czasie I wojny

Jednym słowem coś takiego. I dlatego masz tam ten wentylator. I dlatego też chodzisz do piwnicy w masce przeciwgazowej, prawda? Tam są jakieś piekielne gazy.

– Gdyby to były tylko gazy! – wybuchnął Marek, zaciskając pięści. – Widzisz, bracie, i dlatego muszę ten Karburator sprzedać! Bo po prostu ja tego nie znośę, nie znośę, mówię ci! – wołał niemal z płaczem. – Nawet nie przypuszczałem, że mój Karburator będzie mi wyrabiał takie kawały! Takie straszne... straszne świństwa! I pomyśl tylko, wyrabia mi takie rzeczy od samego początku! I każdy, kto tylko się zbliży, czuje to samo. Ty jeszcze nic nie wiesz, przyjacielu, ale mój dozorca domowy zapłacił za to bardzo drogo.

– O, biedak – zaniepokoił się pan prezes, pełen współczucia. – Umarł od tego?

– Umarć nie umarł, ale się nawrócił! – zawołał Marek zrozpaczony. – Tobie jedyńemu, drogi kolego, to opowiem: mój wynalazek, mój Karburator ma straszliwą wadę. Ale ty go kupisz i tak, albo przyjmiesz ode mnie w prezencie. Na pewno go kupisz, choćby się z niego diabły sypały. Tobie, kolego, wszystko jedno, jeśli tylko da się zarobić parę miliardów. Ty je zarobisz, człowieku! Tu jest ogromna rzecz, ale ja nie chcę mieć z nią nic do czynienia. Ty nie masz sumienia tak wrażliwego, jak ja, mój Bondy, prawda? Miliardy na tym zarobisz, tysiące miliardów! Ale musisz wziąć na swoje sumienie straszliwe zło. Zdecyduj się!

– Nie zwracaj głowy! – bronił się Bondy. – Jeśli tu chodzi

o gazy trujące, władze to zakazą i po krzyku. Sam znasz nasze małe stosunki. Gdyby to było na przykład w takiej Ameryce, o...

– Tu nie ma żadnych gazów trujących – odpowiedział inżynier Marek. – Jest coś tysiąc razy gorszego. Uważaj, Bondy, co ci teraz powiem: przechodzi to ludzki rozum, ale szwindlu nie ma w tym ani za grosz. No więc ten mój Karburator spala materię naprawdę, tak doszczętnie, że nie pozostaje z niej ani pyłek... Albo ściśle rozbija ją, rozprasza, rozkłada na elektrony, spożywa, miele, nie wiem po prostu, jak to nazwać. Jednym słowem zużywa całkowicie. Nawet pojęcia nie masz, jaka olbrzymia siła tkwi w atomach. Pół korca węgla wystarczy ci na to, aby opłynąć wielkim statkiem świat dokoła, oświetlać całą Pragę, pędzić największą fabrykę, w ogóle co chcesz. Orzeszkiem węgla będziesz ogrzewał całe mieszkanie i będziesz gotował dla całej rodziny. A wreszcie nie potrzeba ci nawet węgla: zapalimy sobie pierwszy lepszy kamyczek albo garstkę ziemi, po którą sięgniemy przed sienią domu. Każdy kawałek materii zawiera więcej energii niż olbrzymi kocioł parowy. Chodzi tylko o to, żeby ją wyżyć! Żeby mieć materię spalić dokładnie! I wiesz, Bondy, ja to umiem. Mój Karburator to umie. Zgodzisz się ze mną chyba, że taka rzecz warta jest dwudziestu lat pracy.

– Widzisz, przyjacielu – zaczął pan Bondy z wielką rozważą – jest to strasznie dziwne, ale ja ci, uważasz, wierzę. Słowo honoru: wierzę! Kiedym stał przed tym twoim Karburatorem, czułem wyraźnie, że mam przed sobą coś strasznie wielkiego, coś, co człowieka po prostu miażdży. Trudna rada, ale ja ci wierzę.

Tam na dole w piwnicy masz coś tajemniczego. Coś takiego, co wywróci cały świat do góry nogami.

– Ale właśnie, kolego – szeptał Marek przygnębiony – w tym właśnie sęk. Poczekaj, ja ci powiem wszystko. Czytałeś kiedy Spinozę?

– Nie czytałem.

– Ja także nie czytałem, ale teraz, uważasz, zaczynam się rozczytywać w takich rzeczach. Nie rozumiem tego, bo dla nas, techników, jest to lektura bardzo trudna, ale coś w tym jest. Wierysz w Boga?

– Ja? Bo ja wiem – zastanawiał się G. H. Bondy. – Jak Boga kocham, nie wiem, czy wierzę. Może Bóg jest, ale na jakiej innej gwieździe. U nas nie! Gdzieżby znowu! Do naszych czasów coś podobnego nawet nie pasuje. Sam powiedz, człowieku, co miałby z nami do czynienia?

– Bo ja nie wierzę – rzekł Marek twardo. – Ja nie chcę wierzyć. Zawsze byłem ateistą. Wierzyłem w materię i w postęp i w nic innego. Jestem człowiekiem nauki, kolego, a wiedza nie dopuszcza Boga.

– Ze stanowiska handlu – oświadczył pan Bondy – jest to zupełnie obojętne. Jeśli chce, niech sobie istnieje, na zdrowie. My się nawzajem nie wyłączamy.

– Ale ze stanowiska wiedzy – zawołał Marek surowo – jest to całkiem wykluczone. Albo bóstwo, albo wiedza. Ja nie twierdzę, że Boga nie ma, ja tylko twierdzę, że nie może być, a przynajmniej, że nie powinien się manifestować. I

wierzę, że wiedza krok za krokiem wypiera go, a przynajmniej ogranicza jego manifestacje. I wierzę, że jest to jej najwyższym posłannictwem.

– Bardzo możliwe – rzekł prezes spokojnie. – Mów dalej.

– A teraz wyobraź sobie, człowieku, że... Albo pozwól, powiem ci to w nieco inny sposób: czy wiesz, co to jest panteizm? Jest to wiara, że we wszystkim, co istnieje, przejawia się jedno bóstwo, albo absolut, jak wolisz. W człowieku i w kamieniu, w trawie, w wodzie, wszędzie. I wiesz, czego naucza Spinoza? Że materia jest tylko manifestacją, czyli tylko jedną stroną boskiej substancji, podczas gdy stroną drugą jest duch. I czy wiesz, czego naucza Fechner?

– Nie wiem – przyznał się Bondy.

– Fechner naucza, że wszystko, w ogóle wszystko jest ożywione, że Bóg ożywia wszystką materię na świecie. A Leibniza znasz? Leibniz głosi, że materia składa się z duchowych cząstek, monad, które w istocie swej są boskie. Co ty na to?

– Nic – rzekł G. H. Bondy. – Nie rozumiem tego.

– Ja także nie rozumiem. Jest to strasznie powikłane. Ale wyobraź sobie, że naprawdę w każdej materii jest Bóg, że jest w niej w jakiś sposób zamknięty. Więc gdy materię na czysto rozbijesz, wyleci z niej niby ze szkatułki. Jest nagle wyswobodzony, uwolniony. Wydziela się z materii, jak gaz świetlny wydziela się z węgla. Spalisz jeden atom i raptem piwnica jest pełna Absolutu. Aż strach po prostu jak szybko się to rozchodzi.

– Zaraz – ozwał się pan Bondy. – Powiedz mi to jeszcze raz, ale powoli.

– Więc pomyśl na przykład – wywodził Marek – że, dajmy na to, w każdej materii jest Absolut w postaci jakiegoś związku, powiedzmy, jako związana bierna energia, albo po prostu, że bóstwo jest wszechobecne, że jest obecne w każdej materii i w każdej cząsteczce materii. A teraz wyobraź sobie, że kawałek materii zniszczysz całkowicie, pozornie bez reszty. Ale ponieważ każda materia jest właściwie materią plus Absolut, zniszczyłeś w gruncie rzeczy tylko materię, a pozostała ci niezniszczalna reszta: czysty, wyzwolony, aktywny Absolut. Pozostało ci residuum⁹ nie dające się chemicznie rozłożyć, nie wykazujące spektralnych linii, ani atomowej wagi, ani chemicznego syntetyzmu, ani prawa Mariotta¹⁰, niczego, zupełnie niczego z właściwości materii. Pozostał czysty Bóg. Chemiczne nic, działające z olbrzymią energią. Ponieważ jest to niematerialne, więc nie jest zależne od praw materii. Już z tego samego wynika, że się to przejawia antynaturalnie i po prostu cudownie. To wszystko wynika z założenia, że Bóg jest obecny w materii. Czy potrafisz sobie

⁹ *residuum* a. *rezyduum* (łac. *residuum*: pozostałość) – tu termin używany w geologii: to, co pozostaje po wypłukaniu łatwiejszych do usunięcia frakcji osadu, gleby albo skały. [przypis edytorski]

¹⁰ *prawo Mariotta*, właśc. *prawo Boyle'a-Mariotte'a* – prawo dotyczące własności substancji w stanie gazowym (w pełni prawdziwe tylko dla gazu doskonałego): **W stałej temperaturze objętość danej masy gazu jest odwrotnie proporcjonalna do jego ciśnienia.** Prawo to sformułowali niezależnie od siebie dwaj uczeni, Robert Boyle (1627–1691) i Edme Mariotte (1620–1684). [przypis edytorski]

wyobrazić, że dajmy na to jest w niej?

– Potrafię – rzekł prezes Bondy. – A dalej?

– Dobrze – przyświadczył Marek wstając – więc naprawdę tak jest.

4. Boska piwnica

Prezes Bondy z zastanowieniem ssał cygaro. – A w jaki sposób poznałeś to wszystko? – zapytał.

– Na samym sobie – mówił inżynier Marek, zaczynając znowu przechadzać się po pokoju. – Mój Perfect Carburator tym właśnie, że dokładnie spala materię, wyrabia produkt uboczny: czysty, wolny Absolut, bóstwo w stanie chemicznie czystym. Można by rzec, że z jednej strony wydziela mechaniczną energię, z drugiej istotę bóstwa. Zupełnie tak samo, jak gdy rozkładasz wodę na wodór i tlen, tylko że w mierze ogromnie większej.

– Hm – mruknął pan Bondy. – Więc dalej!

– Ja myślę – wywodził Marek bardzo ostrożnie – że niektóre wyjątkowe osobistości potrafią same rozłożyć w sobie substancję materialną i boską. No, jakby to powiedzieć... Umieją wydzielić Absolut z własnej swej materii. Różni tacy cudotwórcy, magowie, fakirzy, media i prorocy, umieją to przy pomocy jakiejś własnej siły psychicznej. Mój Karburator robi to całkiem maszynowo. Jest to powiedzmy fabryka Absolutu.

– Fakty! – rzekł Bondy. – Trzymaj się faktów.

– Więc dam ci fakty. Swój Perfect Carburator zbudowałem zrazu tylko teoretycznie. Potem zrobiłem mały model, który nie chciał chodzić. Dopiero czwarty model naprawdę ruszył z miejsca. Był całkiem malutki, ale chodził bardzo ładnie. I nawet wtedy, gdy budowałem go w tak malutkich rozmiarach,

odczuwałem jego specjalne działanie na mnie. Takie cudowne stany wesołości i dziwnego czasu. Ale ja myślałem, że to jest tylko radość z powodu wynalazku, czy też może skutki przepracowania. Wtedy właśnie pierwszy raz zacząłem prorokować i robić cuda.

– Co ty wygadujesz? – zawołał prezes Bondy.

– Prorokowałem i robiłem cuda – powtórzył Marek i zasepił się. – Miewałem chwile straszliwego oświecenia. Widziałem na przykład całkiem jasno, co się stanie w przyszłości. I twoją dzisiejszą wizytę sobie wyprorokowałem. Pewnego razu przy tokarce zdarłem sobie paznokieć. Patrzyłem na poraniony palec i widziałem, jak narasta mi paznokieć nowy. Widocznie życzyłem sobie tego, ale było to dziwne i – straszne. Albo wyobraź sobie, że wznosiłem się w górę i chodziłem w powietrzu. To się nazywa lewitacja. Nigdy w takie głupstwa nie wierzyłem. Możesz sobie wyobrazić, jak się przeraziłem.

– Wyobrażam sobie – rzekł Bondy poważnie. – To musi być przykre.

– Ogromnie przykre. Myślałem, że to coś nerwowego, autosugestia, czy coś w tym rodzaju. Tymczasem zbudowałem ten duży Karburator, co stoi w piwnicy, i wprawiłem go w ruch. Jak ci już powiedziałem, chodzi już sześć tygodni dniem i nocą. I tu dopiero poznałem w pełni całą doniosłość tej rzeczy. W ciągu jednego dnia cała piwnica była nabita Absolutem jak armata i co gorsza, zaczęło się to rozlać po całym domu. Uważasz, czysty Absolut przenika każdą materię, ale materię

grubą nieco wolniej. W powietrzu rozchodzi się szybko, jak światło. Kiedym wszedł do piwnicy, opadło mnie to niby atak jakiejś choroby. Krzyczałem na cały głos. Nawet nie wiem, skąd wzięłem tyle siły, by uciec. Tutaj u siebie zacząłem o całej sprawie rozmyślać. Pierwszą moją myślą było, że chodzi tu o jakiś nowy, upajający, czy rozweselający gaz, który powstaje przy doskonałym spalaniu materii. Dlatego kazałem z zewnątrz dorobić ten wentylator. Dwaj z moich monterów popadli przy tym w stan oświecenia; trzeci był alkoholikiem i być może, że to go trochę immunizowało¹¹. Dopóki sądziłem, że tu chodzi jedynie o gaz, robiłem różne doświadczenia. Ciekawe, że w Absolucie każde światło wydaje daleko większy blask. Gdyby można było utrzymać go w szklanej gruszce, napełniałbym tym żarówki. Ale on się ulatnia z każdego naczynia choćby nie wiem jak uszczelnionego. Potem przyszło mi na myśl, że to jest jakieś promieniowanie XY, ale nie ma tu ani śladu jakiejś elektryczności, a na światłoczułych płytkach nie zaznacza się nic a nic. Na trzeci dzień musieli mego dozorcę domowego zawieźć do sanatorium, bo mieszkał akurat nad piwnicą. Jego żona także... zaniemogła.

– Dlaczego do sanatorium? – nastawał Bondy.

– Nawrócił się. Miał natchnienie. Wygłaszał mowy religijne i robił cuda. Jego żona prorokowała. Dozorca ten był człowiekiem bardzo porządnym, monistą i wolnomyślicielem, no, bardzo porządny to był człowiek. Wyobraź sobie, że ni z tego, ni z owego

¹¹ *immunizować* – uodpornić. [przypis edytorski]

zaczął uzdrawiać ludzi wkładaniem rąk. Oczywiście, został natychmiast oskarżony. Lekarz powiatowy, mój przyjaciel, był bardzo wzburzony. Kazałem go zawieźć do sanatorium, żeby położyć kres zgorszeniu. Podobno już mu lepiej, wyzdrowiał i stracił moc czynienia cudów. Poślę go jeszcze na wieś jako rekonwalescenta. Ja sam zresztą zacząłem czynić cuda i stałem się jasnowidzem. Między innymi miałem wizje ogromnych lasów skrzypowych na moczarach z dziwaczными zwierzętami. Może dlatego, że spalałem w Karburatorze węgiel górnośląski, który jest najstarszy. Jest w nim niezawodnie bóstwo węgla kamiennego.

Prezes Bondy otrząsnął się.

– Ależ to straszne, mój Marku! – zawołał.

– Straszne – zgodził się Marek ponuro. – Powoli przychodziło zrozumienie, że nie chodzi tu o gaz, ale o Absolut. Cierpiałem okropnie, miałem jakieś niepojęte objawy. Czytałem ludzkie myśli, wydawałem z siebie światło, musiałem z sobą strasznie walczyć, aby nie zacząć się modlić i głosić wiarę w Boga. Chciałem cały ten Karburator zasypać piaskiem, ale wpadłem w stan lewitacji.

Nie można tej maszyny zatrzymać niczym. Już w domu nie sypiam. I w fabryce wśród robotników przytrafiły się ciężkie przypadki oświecenia. Już nie wiem, co mam robić, przyjacielu. Naturalnie, że wypróbowałem wszystkie możliwe materiały uszczelniające, które mogłyby nie przepuszczać Absolutu z piwnicy na świat. Popiół, piasek, metalowe płyty,

ale nic tu nie poradzisz. Próbowałem obłożyć piwnicę pismami profesora Krejczego¹², Spencera¹³, Haeckla¹⁴, pozytywistami. Pomyśl, przyjacielu, że Absolut przebija się łatwo i przez takie rzeczy! Nawet gazety, książki do nabożeństwa, święty Wojciech, patriotyczne śpiewniki, wykłady uniwersyteckie, książki Q. M. Vyskočila¹⁵, broszury polityczne i stenogramy sejmowe nie są dla Absolutu nieprzepuszczalne! Jestem wprost zrozpaczony. Nie daje się to ani zamknąć, ani wyssać. Po prostu jakieś rozpętane zło.

– Wolnego, mój drogi – rzekł pan Bondy. – Czy to naprawdę aż tak wielkie zło? Nawet gdyby istotnie tak było, jak powiadasz... czy to znowu tak wielkie nieszczęście?

– Słuchaj, Bondy, mój Karburator to rzecz ogromna. Wywróci do góry nogami cały świat, pod względem technicznym i społecznym; koszty produkcji potanieją niesłychanie, zniknie nędza i głód, a kiedyś tam mój Karburator ochroni naszą

¹² *Krejczy* – nazwisko to nosiło (lub nosi) wielu wybitnych Czechów, w czasach powstawania *Fabryki Absolutu* mogli to być m.in.: František Krejčí (1858–1934), psycholog, filozof i polityk; František Václav Krejčí (1867–1941), pisarz, dziennikarz i polityk; Jan Krejčí (1868–1942), językoznawca, rektor uniwersytetu Masaryka. [przypis edytorski]

¹³ *Herbert Spencer* (1820–1903) – ang. filozof i socjolog. [przypis edytorski]

¹⁴ *Ernst Haeckel* (1834–1919) – niem. filozof i biolog, zwolennik darwinizmu. [przypis edytorski]

¹⁵ *Quido Maria Vyskočil* (właśc. Antonín Ludvík Vyskočil; 1881–1969) – czeski pisarz, poeta, bibliotekoznawca i scenarzysta filmowy, autor licznych dzieł literackich, z których najbardziej znane są utwory inspirowane legendami z folkloru górników z jego rodzinnego Příbramia, *Stříbrné město* (1910) i *Šachta* (1927). [przypis edytorski]

planetę przed zmarznięciem. Ale z drugiej strony rzuca on w świat bóstwo jako produkt uboczny. Zaklinam cię, przyjacielu, nie lekceważ tego. My nie przywykliśmy do obcowania z prawdziwym bóstwem. Nawet pojęcia nie mamy, ile mogłaby nabroić jego obecność, powiedzmy kulturalnie, moralnie i tam dalej. Człowieku, tu chodzi przecie o ludzką cywilizację!

– Zaraz, zaraz – rzekł prezes Bondy zamyśliwszy się. – Może istnieją takie zaklęcia. Czy już wzywałeś księży?

– Jakich księży?

– Byle jakich. Przecież o wyznanie tu chodzić nie może. Potrafiliby może zakazać to i owo.

– Zabobony! – wybuchnął Marek. – Dajże ty mi spokój z klechami! Żeby mi w mojej uczciwej piwnicy urządzili jakie cudami słynące pielgrzymowisko! U mnie, przy moich poglądach!

– Dobrze – zgodził się pan Bondy. – To ja sam ich poproszę. Człowiek nigdy nie wie, co się może przydać... Zaszkozić taka rzecz w żadnym razie nie może. Ostatecznie, ja przeciwko Bogu nic nie mam. Chodzi o to, żeby nie było zakłóceń w pracy. Czy próbowałeś załatwić rzecz po dobremu?

– Nie! – zaprotestował inżynier Marek.

– To źle – rzekł sucho prezes Bondy. – Może dałoby się zawrzeć z Absolutem jakąś umowę. Bardzo ścisły kontrakt, mniej więcej taki: – Zobowiązujemy się wyrabiać Cię bez rozgłosu, bez zakłócania pracy, w rozmiarach, jakie ustalimy; Ty w zamian zobowiązesz się, iż zrzekasz się wszystkich boskich

manifestacji w zasięgu tyłu a tyłu metrów od miejsca produkcji.

– Jak uważasz, czy zgodziłby się na to?

– Nie wiem – odpowiedział Marek z niesmakiem. – Zdaje się, iż podobało mu się specjalnie istnieć dalej niezależnie od materii. Może by on... we własnym interesie... pozwolił pogadać z sobą. Ale ode mnie tego nie żądaj.

– Dobrze – zgodził się Bondy. – Poślę swego notariusza. Bardzo taktowny i zręczny człowiek. A poza tym, może dałoby się zaproponować mu jaki kościół. Przecież taka fabryczna piwnica, w takim otoczeniu, jest dla niego trochę nie tego... nieodpowiednia. Należałoby wy badać jego upodobania. Próbowałeś tego już?

– Nie. Najchętniej zalałbym piwnicę wodą.

– Nie tak prędko, mój Marku! Ja twój wynalazek niezawodnie kupię. Oczywiście, sam rozumiesz, że poślę tu jeszcze swoich techników... Rzecz trzeba dobrze zbadać. Być może, iż jest to naprawdę tylko gaz trujący. Ale choćby to był nawet sam Absolut, nic mnie to nie obchodzi, jeśli Karburator pracuje, jak się patrzy.

Marek wstał.

– Odważyłbyś się korzystać z Karburatora w fabrykach MEAS?

– Odważę się wyrabiać Karburatory masowo – odpowiedział Bondy powstając. – Karburatory dla pociągów i okrętów, Karburatory do centralnego ogrzewania, Karburatory dla gospodarstw i urzędów, dla fabryk i szkół. Za lat dziesięć

będzie się paliło tylko w Karburatorach. Proponuję ci trzy procent z zysku brutto. Za pierwszy rok otrzymasz pewno tylko parę milionów. Tymczasem możesz się wyprowadzić, żebym mógł posłać tu swoich ludzi. Jutro rano przywiozę tu pana biskupa. Zejdź mu z drogi, kolego. W ogóle dobrze zrobisz, jeśli znikniesz. Jesteś troszkę przykry. Nie chciałbym popsuć swoich stosunków z Absolutem zaraz na początku.

– Bondy! Przyjacielu! – szeptał Marek pełen zgrozy – ostrzegam cię po raz ostatni: sprowadzisz Boga na świat.

– W takim razie – rzekł Bondy dostojnie – będzie mi za to chyba wdzięczny. Liczę na to, że nie okaże się sknerą wobec mnie.

5. Pan biskup

W jakie dwa tygodnie po Nowym Roku siedział inżynier Marek w gabinecie prezesa Bondy'ego.

– Jak daleko jesteście panowie? – zapytał prezes Bondy podnosząc głowę znad papierów.

– Ja skończyłem – odpowiedział inżynier Marek. – Dałem twoim inżynierom szczegółowe wykresy Karburatora. Ten łysy, jak to on się nazywa.

– Krolmus.

– Aha, inżynier Krolmus, bajecznie uprościł mój atomowy motor. Chodzi o przemianę energii atomowej w pracę. Bajeczny chłop z tego Krolmusa. Co nowego poza tym?

Prezes Bondy pisał i milczał.

– Budujemy – rzekł po chwili. – Siedem tysięcy murarzy. Budujemy fabrykę Karburatorów.

– Gdzie?

– Na Wysoczanach¹⁶. I powiększyliśmy kapitał akcyjny o półtora miliarda. Gazety piszą coś o naszym nowym wynalazku. Przejrzyj to sobie – dodał i rzucił Markowi na kolana stos czeskich i zagranicznych pism, po czym zagłębił się w jakichś papierach.

– Już dwa tygodnie nie byłem w swej... ech... – odezwał się

¹⁶ Wysoczany – miejscowość przyłączona do Pragi w 1922 r. [przypis edytorski]

Marek głosem zduszonym.

– Gdzie nie byłeś?

– W swojej fabryczce... Nie mam odwagi po prostu. Czy tam się coś dzieje?

– Hm.

– A co porabia mój Karburator? – pytał Marek, przewyciężając niepokój.

– Chodzi, jak się patrzy.

– A... co porabia... tamto?

Prezes westchnął i odłożył pióro.

– Czy wiesz, że musieliśmy zamknąć ulicę Mixa?

– Dlaczego?

– Ludzie chodzili tam modlić się. Całe tłumy, chociaż policja ich rozpędzała. Mamy siedmiu zabitych. Pozwolili walić w siebie jak owce.

– Tego należało się obawiać, tak, tego należało się obawiać – mamrotał zrozpaczony Marek.

– Ogrodziliśmy ulicę drutem kolczastym – mówił Bondy dalej. – Sąsiednie domy trzeba było ewakuować. Same ciężkie objawy religiomanii. W tej chwili jest tam komisja ministerstwa zdrowia i ministerstwa oświaty.

– Mam nadzieję – westchnął Marek z uczuciem ulgi – że władze wstrzymają działalność Karburatora.

– Nic podobnego – rzekł G. H. Bondy. – Klerykałowie bardzo się burzą przeciwko twemu Karburatorowi i dlatego stronnictwa postępowe stają w jego obronie na złość. Właściwie

nikt nie wie, o co tam chodzi. Widać zaraz, że nie czytujesz gazet, człowieku. Przerodziło się to wszystko w całkiem zbędną polemikę z klerykałami. Ten zacny pan biskup poinformował o wszystkim kardynała-arcybiskupa...

– Co za pan biskup?

– Niejaki biskup Linda, całkiem dorzeczny człowiek. Wiesz, zawiozłem go tam, żeby się przyjrzał temu cudownemu Absolutowi jako fachowiec. Badał całą tę sprawę przez trzy dni, siedział ciągle w piwnicy i...

– Nawrócił się? – wyrwało się Markowi.

– Gdzie tam! Jest widać tak wytrenowany w sprawach Absolutu, albo też jest z niego jeszcze piekielniejszy ateista niż z ciebie. Nie wiem tego. Ale po trzech dniach przybiegł do mnie i powiada, że z katolickiego stanowiska nie może być o żadnym Bogu mowy, że kościół odrzuca stanowczo hipotezę panteistyczną jako heretycką. Jednym słowem, że tu nie ma żadnego legalnego Boga, popartego autorytetem kościoła i że jako ksiądz musi uważać wszystko za oszustwo, fałsz i kacerstwo. Bardzo rozsądnie gadał ten pater.

– Więc on tam nie wyczuł żadnych nadnaturalnych zjawisk?

– Wszystko tam przeżył: oświecenie, czynienie cudów, ekstazę, wszystko. On nie twierdzi, że te rzeczy się tam nie dzieją.

– No więc proszę cię, jak on to objaśnia?

– Nijak. Powiada, że kościół niczego nie objaśnia, ale nakazuje, albo zakazuje. Jednym słowem ani myśli

kompromitować kościoła jakimś nowym niedoświadczonym bóstwem. Tak go przynajmniej rozumiałem... – Czy wiesz, że kupiłem ten kościół, co jest na Białej Górze?

– Na co ci kościół?

– Jest najbliżej Brzewnowa. Trzysta tysięcy zapłaciłem, człowieku. Zaproponowałem go Absolutowi tam w piwnicy, ustnie i na piśmie, aby się do niego przeprowadził. Jest to całkiem ładny barokowy kościół. Prócz tego z góry oświadczyłem się z gotowością każdej potrzebnej adaptacji. I rzecz dziwna, o parę kroków od kościoła pod policyjnym numerem 457 zdarzył się onegdaj bardzo ładny przypadek ekstazy z pewnym instalatorem, ale w kościele nic cudownego, nic i nic! Jeden przypadek zdarzył się aż w Wokowicach¹⁷, dwa nawet w Kosirzach¹⁸. W radiostacji petrzyńskiej wybuchła wprost epidemia religijna: wszyscy radiotelegrafiści, którzy tam pracują, rozsyłali, ot tak sobie, do całego świata ekstatyczne depesze, niby jakąś nową ewangelię. Że niby Bóg schodzi znowu na świat, aby go odkupić i tam dalej w tym guście. Pomyśl, co za kompromitacja! Postępowa prasa bije w ministerstwo poczt i telegrafów, aż paździoły lecą. Krzyczy, że klerykalizm wysuwa rogi i głosi podobne dyrdymałki. Nikt dotychczas ani się domyśla, że ma to związek z Karburatorem. Wiesz, Marku – dodał Bondy szeptem

¹⁷ *Wokowice*, czes. *Vokovice* – miejscowość przyłączona do Pragi w 1922 r., dziś dzielnica Pragi. [przypis edytorski]

¹⁸ *Kosirze*, czes. *Košůře* – miejscowość przyłączona do Pragi w 1922 r., dziś dzielnica Pragi. [przypis edytorski]

– coś ci powiem, ale to wielki sekret: tydzień temu przytrafiło się coś naszemu ministrowi wojny.

– Jakiemu ministrowi? – krzyknął Marek.

– Cicho! Ministrowi wojny. Doznał nagłego oświecenia w swej willi w Dejwicach¹⁹. Nazajutrz zwołał praski garnizon i przemawiał do niego o wiecznym pokoju, a żołnierzy namawiał do męczeństwa. Oczywiście, musiał natychmiast ustąpić. W gazetach pisali, że nagle zachorował. Takie rzeczy się dzieją, kolego!

– Więc nawet już w Dejwicach? – zasmucił się inżynier Marek. – Ależ to straszne, mój Bondy, jak to się szybko rozłazi!

– Niezmiernie szybko – zgodził się prezes Bondy. – Jakiś człowiek przewiózł sobie z tej zakażonej ulicy Mixa pianino aż na Pankrac²⁰. Po dwudziestu czterech godzinach cały dom był pełen Absolutu i...

Prezes nie dokończył. Do pokoju wszedł służący i zameldował wizytę biskupa Lindy. Marek chciał szybko zwiać, ale Bondy przytrzymał go siłą i rzekł:

– Siedz i bądź cicho. Ten biskup to bardzo szarmancki pan.

Właśnie w tej chwili wchodził biskup Linda. Był to niski, wesoły pan, w złotych okularach i ze szpasowną buzią, którą po księżemu układał w zgrabny dziecięcy zadeczek. Bondy przedstawił mu Marka jako właściciela nieszczęsnej

¹⁹ *Dejvice* – miejscowość w 1922 r. włączona w obręb Pragi. [przypis edytorski]

²⁰ *Pankrac* – część Pragi, leży w dzielnicy Nusle, na południe od centrum. Nazwa pochodzi od patrona miejscowego kościoła, św. Pankracego. [przypis edytorski]

brzewnowskiej piwnicy. Biskup z rozkoszą zacierał ręce, podczas gdy inżynier Marek wściekle wymrukiwał wyrazy o tym, jak mu strasznie przyjemnie. Na jego twarzy bardzo wyraziście malowało się wyzwanie: całuj psa w nos, klecho! Biskup ułożył buzię w ciup i zwrócił się do prezesa Bondy'ego.

– Panie prezesie – zaczął bardzo żywo, po byle jakim wstępie – przybywam do pana w sprawie bardzo delikatnej. Bardzo delikatnej – powtórzył po smakoszowsku. – Omawialiśmy pańską sprawę w konsystorzu. – Jego Eminencja, nasz arcybiskup, jest skłonny załatwić tę całą rzecz możliwie dyskretnie. Rozumie pan, mówię o tej nieprzystojnej sprawie z cudami. Pardon, nie chcę urazić uczuć pana... pana właściciela, który...

– Proszę się nie krępować – machnął Marek ręką.

– Jednym słowem chodzi o cały ten skandal. Jego Eminencja wyraził się, że ze stanowiska rozumu i wiary nic nie jest tak gorszące, jak owo bezbożne, a nawet bluźniercze naruszenie praw przyrody...

– Przepraszam – zawołał Marek żywo dotknięty – prawa przyrody pozostawcie panowie łaskawie nam. My się także nie wtrącamy do waszych dogmatów.

– Bardzo się pan myli – odpowiedział biskup ochoczo. – Bardzo! Wiedza bez dogmatów jest tylko kupą wątpliwości. Jeszcze gorsze jest to, że wasz Absolut nie zgadza się z prawami kościoła. Przeczy nauce o sakramentach. Nie szanuje tradycji kościelnej. Bardzo poważnie narusza dogmat Trójcy Świętej.

Nie liczy się z apostołskim następstwem kleru, nie poddaje się nawet kościelnym egzorcyzmom. I tak dalej. Jednym słowem zachowuje się w sposób, który musimy potępić.

– No – no – wtrącił się prezes Bondy pojednawczo. – Jak dotąd zachowuje się Absolut dość... przyzwoicie.

Pan biskup ostrzegawczo podniósł palec.

– Jak dotąd. Ale nie wiemy, jak będzie zachowywał się w przyszłości. O cóż chodzi, panie prezesie? Panu chodzi o to, aby nie było zgorzenia. Nam także. Pan chciałby, jako człowiek praktyczny, zlikwidować wszystko dyskretnie. My, jako zastępcy i słudzy Boga chcemy tego samego. Nie możemy dopuścić do powstania jakiegoś nowego Boga, czy nawet do powstania jakiejś nowej religii.

– Chwałaż Bogu – ulżył sobie pan Bondy. – Od razu wiedziałem, że się z sobą doskonale porozumiemy.

– Wybornie – zawołał pan biskup, połyskując w uszczęśliwieniu okularami. – Tylko się porozumieć? Czcigodny konsystorz postanowił, że ze względu na interesy kościoła zgodziłby się ewentualnie na przejście patronatu nad tym waszym... ehm... hmm... Absolutem, który manifestowałby się nieco łagodniej, nie tak burzliwie i powiedzmy, tylko sporadycznie, mniej więcej tak jak w Lourdes. Inaczej angażować się nie możemy.

– Dobrze – przyświadczył Bondy. – A dalej?

– Dalej – wywodził biskup – żeby się Absolut wyrabiało tylko z węgla wykopanego w Małych Świętoniowicach. Jak pan raczy

wiedzieć, jest to cudowne miejsce kultu mariańskiego, tak że być może przy pomocy tamtejszego węgla założymy pod numerem 1651 w Brzewnowie przybytek kultu mariańskiego.

– Zakładajcie – zgadzał się Bondy. – Czy jeszcze coś?

– Po trzecie zobowiązacie się panowie, że na żadnym innym miejscu nie będzie się Absolutu wyrabiało.

– Co znowu? – podskoczył prezes Bondy. – A nasze Karburatory?

– Nie będą nigdy wyrabiane, prócz jedyngo brzewnowskiego, który będzie majątkiem kościoła świętego i w jego rozporządzeniu.

– Nonsens! – zastrzegął się G. H. Bondy. – Karburatory będą wyrabiane. W pierwszym półroczu tysiąc dwieście. Przed upływem roku dziesięć tysięcy. Tak dalece jesteśmy już urzędzeni.

– A ja wam powiadam – rzekł biskup z cichą słodyczą – że po roku nie będzie w robocie ani jednego Karburatora.

– Czemuż to?

– Ponieważ ani ludzkość wierząca, ani niewierząca nie może się pogodzić z prawdziwym i aktywnym Bogiem. Nie może, panowie. To jest wyłączone.

– A ja panu powiadam – wtrącił się Marek namiętnie – że Karburatory będą. Teraz ja sam stoję po ich stronie. Właśnie dlatego będą, że wy ich nie chcecie! Wam na złość, wasza biskupia miłości. Na złość wszystkim zabobonom. Na złość całemu Rzymowi! I ja pierwszy zawołam – Marek nabrał w

pierś tchu i zawołał z niemelodyjnym natchnieniem: – Niech żyje Perfect Carburator!

– Zobaczymy – odpowiedział z westchnieniem pan biskup Linda. – Przekonacie się panowie, że czcigodny konsystorz miał rację. Po prostu sami wstrzymacie produkcję Absolutu. Ale te szkody, te szkody, jakie tymczasem powstaną! Nie myślcie sobie panowie, że kościół wprowadza Boga na świat! Kościół umiejscawia Go jedynie i reguluje. A wy, panowie bezbożnicy, rozpętaście Go niby powódź. Łódź Piotrowa wytrzyma i ten nowy potop. Niby arka Noego przepłynie przez fale Absolutu, ale wasze współczesne społeczeństwo – zawołał biskup z mocą – zapłaci za to!

6. Meas

Panowie – mówił prezes G. H. Bondy na zgromadzeniu rady zarządzającej zakładów MEAS (Metallum A. S.), które odbywało się 20 lutego – mogę wam zakomunikować, że jedna budowla nowego fabrycznego kompleksu na Wysoczanach została wczoraj przekazana do użytku. W najbliższych dniach rozpoczynamy seryjny wyrób Karburatorów, na początek 18 sztuk dziennie. W kwietniu będziemy wyrabiali 65 sztuk. Pod koniec czerwca, dwieście sztuk dziennie. Ułożyliśmy piętnaście kilometrów własnego toru, głównie dla dowozu węgla. Dwanaście kotłów parowych montujemy w tej chwili. Przystąpiliśmy do budowy nowej dzielnicy robotniczej.

– Dwanaście kotłów parowych? – zapytał niby to obojętnie dr Hubka, przywódca opozycji.

– Tak jest, tymczasem dwanaście – przyświadczył prezes Bondy.

– To bardzo dziwne – kręcił głową dr Hubka.

– Pytam was, panowie – mówił prezes Bondy – co jest dziwnego w dwunastu kotłach? Przy tak wielkim kompleksie fabrycznym...

– Istotnie – odezwały się głosy.

Dr Hubka uśmiechał się ironicznie.

– I na co tych piętnaście kilometrów toru?

– Na dowóz węgla i surowca. Liczymy się z dziennym

zużyciem ośmiu wagonów węgla, gdy fabryka będzie w pełnym biegu. Nie wiem, co się panu doktorowi Hubce nie podoba w dowozie węgla.

– A to mi się nie podoba – zawołał dr Hubka i podskoczył – że cała ta rzecz jest bardzo podejrzana. Tak jest, panowie, w najwyższym stopniu podejrzana. Pan prezes Bondy zmusił nas do zbudowania fabryki Karburatorów. Zapewnił nas, że Karburator to jedyna siła pędna przyszłości. Jak wmawiał w nas, że Karburator daje tysiąc sił końskich²¹ z jednej szuflki węgla. A teraz opowiada nam tu coś o dwunastu kotłach parowych, o całych wagonach węgla dla naszych kotłów. Powiedzcie mi, panowie, czemuż więc nie wystarczy szufla węgla jako napęd dla naszej fabryki? Na co nam kotły parowe, skoro możemy mieć motory atomowe? Jeśli, proszę panów, cały Karburator nie jest zwyczajnym szwindlem, to zupełnie nie rozumiem, dlaczego pan prezes nie organizuje naszej fabryki na napęd karburatorowy. Ja tego nie rozumiem i nikt tego nie zrozumie. Czemuż to pan prezes nie ma dość zaufania do tych swoich Karburatorów i nie zaprowadza ich w naszych zakładach? Proszę panów, bardzo to kiepska reklama dla naszych Karburatorów, skoro sam wytwórca nie chce, czy nie może ich używać! Proszę panów, zapytajcie

²¹ *siła końska* (daw.) – tu: koń parowy a. koń mechaniczny, jednostka mocy, powstała z potrzeby porównania mocy nowo tworzonych w XIX w. maszyn do mocy koni pociągowych: maszyna o mocy 1 konia parowego, działająca całą dobę, miała zastąpić 3 konie, pracujące po 8 godzin każdy. Dlatego 1 koń mechaniczny stanowi równowartość 75 kgfm/s (kilogramometrów na sekundę), czyli ok. 735,5 W (Wat).
[przypis edytorski]

pana prezesa Bondy'ego jakie są tego przyczyny. Co do mnie – mam zdanie jasne. Skończyłem, panowie!

Po tych słowach dr Hubka usiadł i zwięcześnie smarkał w chustkę.

Członkowie rady zarządzającej milczeli zakłopotani. Zarzuty dra Hubki były aż nadto jasne. Prezes Bondy nie podnosił oczu znad swoich papierów. Nic nie drgnęło w jego twarzy.

– Noo tak – ozwał się pojednawczo stary Rosenthal – pan prezes da nam wyjaśnienie. Hmm tak, to się wyjaśni, panowie. Ja sądzę, że hmm, noo tak, tak jest, względem tego, co nam zakomunikował.

Prezes Bondy podniósł wreszcie oczy.

– Przedstawiłem wam, panowie, opinię naszych inżynierów o Karburatorze – mówił cicho. – Wszystko jest tak, jak mówiłem. Karburator nie jest szwindlem. Zbudowaliśmy ich dziesięć na próbę. Wszystkie pracują nienagannie. Tutaj mam dowody. Karburator numer pierwszy pędzi tłoki pompy na Sazawie²², pracuje idealnie już dwa tygodnie. Numer drugi, bagrownica²³ na górnej Wełtawie, pracuje wspaniale. Numer trzeci jest w laboratorium doświadczalnym politechniki w Brnie. Numer czwarty uszkodzony podczas transportu. Numer piąty oświetla Hradec Kralové²⁴. Jest to typ dziesięciokilowy. Pięciokilowy

²² Sazawa – rzeka w Czechach, prawy dopływ Wełtawy. [przypis edytorski]

²³ bagrownica – pogłębiarka. [przypis edytorski]

²⁴ Hradec Kralové – miasto we wschodniej części Czech, jeden z dwóch głównych ośrodków okręgu kraj wchodnioczeski. W tym mieście autor *Fabryki Absolutu*

typ, numer szósty, pędzi młyn w Slanem²⁵. Numer siódmy zainstalowany do centralnego ogrzewania bloku domów na Nowym Mieście. Właścicielem tych domów jest obecny tu fabrykant Machat. Proszę, panie Machat, niech pan sam powie.

Starszy pan tego nazwiska zbudził się jakby ze snu.

– Proszę...

– Pytamy, jak się sprawuje u pana centralne ogrzewanie.

– Co? Jakie ogrzewanie?

– W pańskim nowym bloku domów – nacierał łagodnie prezes Bondy.

– W jakim bloku?

– W nowych domach pana.

– W moich domach? Ja żadnych domów nie mam.

– Nonono – odezwał się Rosenthal. – Zeszłego roku budował pan przecie!

– Ja? – dziwił się Machat. – Ach tak, ma pan rację, budowałem. Ale wie pan, ja te domy rozdałem. Wie pan, rozdałem je.

Prezes Bondy spojrział na niego bardzo uważnie.

– Komu pan je rozdał?

Machat zaczerwienił się z lekka.

– No, biednym ludziom, wie pan... Powprowadzałem tam ubogich ludzi. Ja... ja... doszedłem do przekonania... jednym

uczęszczał do gimnazjum. [przypis edytorski]

²⁵ *Slaný* – miasto w Czechach, położone ok. 30 km na płn.-zach. od Pragi. [przypis edytorski]

słowem dałem je ubogim ludziom. Rozumie pan?

Pan Bondy nie spuszczał z niego oczu niby sędzia śledczy.

– Dlaczego rozdał pan te domy?

– Ja... ja musiałem, że tak powiem – odpowiadał Machat coraz bardziej zmieszany. – Tak mnie coś przymusiło. Musimy być świętymi, prawda?

Prezes nerwowo bębnił palcami po stole.

– A rodzina pana?

Machat zaczął się pięknie uśmiechać.

– O, my jesteśmy wszyscy tego samego zdania, wicie panowie? Ci biedni ludzie są tacy święci. Są wśród nich chorzy. Córka moja im służy, ach tak. Wszyscy zmieniliśmy się tak bardzo!

G. H. Bondy spuścił oczy. Córka Machata. Elen, płowowłosa Elen, mająca siedemdziesiąt milionów, służy chorym! Elen, która mogła, która miała, która na poły zgodziła się zostać panią Bondy'ową! Bondy zagryzł usta. To się udało! Nie ma co mówić!

– Panie Machat – zaczął zduszonym głosem – chciałem się dowiedzieć, jak ogrzewa wasze domy ten nowy Karburator...

– O, wspaniale! Jest tak cudownie ciepło w tych wszystkich domach, jak gdyby były ogrzewane nieskończoną miłością! Wie pan – wywodził Machat ekstatycznie, ocierając oczy – kto tam wejdzie, staje się od razu innym człowiekiem. Jest tam jak w raju. Żyjemy jak w niebie, my wszyscy. O, przyjdźcie między nas!

– Widzicie więc, panowie – rzekł prezes Bondy, opanowując się z całej siły – że Karburatory pracują tak, jak wam to

zapowiedziałem. Proszę, aby panowie nie stawiali mi dalszych pytań.

– My chcemy tylko wiedzieć – zawołał dr Hubka wojowniczo – dlaczego nie przystosowujemy nowej fabryki do napędu karburatorowego? Dlaczego mamy używać kosztownego węgla, skoro dla innych organizujemy atomową energię? Czy prezes Bondy zamierza przedstawić nam swoje dowody?

– Nie zamierza – oświadczył Bondy. – My będziemy palili węglem. Z powodów mnie wiadomych napęd karburatorowy nie nadaje się dla naszej fabryki. Dość, panowie! Całą sprawę uważam za kwestię zaufania do mnie.

– Gdybyście wiedzieli – ozwał się Machat – jak cudownie żyje się człowiekowi w stanie świętości! Szczerze wam radzę, panowie: rozdajcie wszystko, co macie! Stańcie się ubogimi i świętymi. Pozbądźcie się mamony i wzywajcie Jedyne Boga!

– No – uspokajał go Rosenthal. – Pan, panie Machat, jest bardzo miłym i dobrym człowiekiem, noo tak. Bardzo porządnym. A panu prezesowi to ja ufam. Tak, panie Bondy. Wie pan co, niech mi pan pošle jeden karburator do mego centralnego ogrzewania! Wiecie, panowie, ja rzecz wypróbuję. Co wy na to? Co tu dużo gadać! A więc, panie Bondy?

– Jesteśmy wszyscy braćmi wobec Boga – wywodził dalej promieniejący Machat. – Drodzy panowie, oddajmy fabrykę ubogim. Składam wniosek, abyśmy zakłady MEAS przemienili w gminę religijną Pokornych Serc. Będziemy jądrem, z którego wyrośnie Drzewo Boże, dobrze? Będziemy Królestwem Bożym

na ziemi.

– Proszę o głos! – krzyczał dr Hubka.

– No więc, pan Bondy – napierał stary Rosenthal. – Widzi pan, stoję przy panu. Niechże mi pan pożyczy jeden z tych Karburatorów! Panie Bondy!

– Albowiem sam Bóg zstępuje na ziemię – mówił podniecony Machat. – Słuchajcie Jego wezwania: bądźcie świętymi i prostymi, otwórzcie serca swoje nieskończoności. Bądźcie absolutni w swej miłości. Wiecie, kochani panowie...

– Proszę o głos – krzyczał ochrypy dr Hubka.

– Cicho! – zawołał prezes Bondy, blady i z płomieniem w oczach, powstał w całej okazałości cetnarowego²⁶ mężczyzny. – Proszę panów, jeśli wam się nie podoba fabryka Karburatorów, przejmę ją na własny rachunek. Wyliczę się z wami, co do grosza, z dotychczasowych wydatków. Składam swój urząd, panowie. Polecam się.

Dr Hubka podskoczył jak oparzony.

– Ale ja, proszę panów, ja protestuję! My protestujemy! My nie sprzedamy wyrobu Karburatorów! Nie, panowie, nie pozbedziemy się tak znakomitego artykułu handlowego! Nie pozwolimy nikomu wodzić się za nos, nabijać w butelkę i wyzbywać tak świętego interesu. Pozwólcie panowie, że...

Prezes Bondy zadzwonił.

²⁶ *cetnarowy* – ważący około cetnara, tj. 50–60 kg. Według dalszych informacji z powieści, Bondy był raczej otyły, więc można w tym miejscu spodziewać się raczej określenia **stukilowy**. W oryginale czeskim w tym miejscu: *centový (povstal v celé mohutnosti centového muže)*. [przypis edytorski]

– Przyjaciele – rzekł zasepiony – dajmy spokój sporom. Zdaje się, że nasz przyjaciel Machat jest troszkę, tego ten... chory. Co do Karburatorów, to zaręczam dywidendę stu pięćdziesięcioprocentową. Wnoszę zakończenie debat.

Dr Hubka dorwał się do słowa:

– Proponuję, panowie, aby każdy z członków rady zarządzającej otrzymał jeden Karburator, że tak powiem, do wypróbowania.

Prezes Bondy zmierzył spojrzeniem wszystkich zebranych. W jego twarzy coś drgnęło, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale wzruszył jedynie ramionami i wycodził przez zęby:

– Dobrze.

7. Goon

– Jak stoimy w Londynie? – Akcje MEAS wczoraj 1470. Onegdaj 720.

– Dobrze.

– Inżynier Marek został mianowany członkiem honorowym siedemdziesięciu towarzystw naukowych. Nagrodę Nobla dostanie z pewnością.

– Dobrze.

– Masa zamówień z Niemiec. Przeszło pięć tysięcy Karburatorów.

– Aha.

– Z Japonii dziewięćset zamówień.

– Patrzyścież²⁷!

– W Czechach zainteresowanie mierne. Trzy nowe zapytania.

– Hm. Należało tego oczekiwać. Och te nędzne, małe stosunki!

– Rząd rosyjski zamówił od razu 200 sztuk.

– Dobrze, ogółem?

– Trzynaście tysięcy zamówień.

– Doskonale. Jak jest z budowaniem?

– Oddział samochodów atomowych jest pod strzechą. Sekcja samolotów atomowych w ciągu tygodnia rozpocznie pracę.

²⁷ *patrzyścież* – dziś raczej: patrzcie (2 os. lm. tr.rozkaz.); na końcu wyrazu dodana została partykuła wzmacniająca -ż. [przypis edytorski]

Kładziemy podwaliny pod oddział atomowych lokomotyw. Jedno skrzydło oddziału motorów okrętowych już pracuje.

– Zaraz. Wprowadźcie nazwy: atomobil, atomotor, atomotywa, rozumiecie? Jak daleko jest Krolmus z atomowymi działami?

– Już buduje model w Pilźnie. Nasz atomowy cyclecar dojeżdża w tej chwili na brukselskim autodromie trzydziesty tysiąc kilometrów. Robi 270 kilometrów na godzinę. Na półkilowe atomotorki mamy, w ostatnich dwóch dniach, siedemdziesiąt tysięcy zamówień.

– Mówił pan przed chwilą, że ogółem trzynaście tysięcy.

– Trzynaście tysięcy leżących atomowych kotłów. Osiem tysięcy ogrzewających armatur do centralnego ogrzewania. Niemal dziesięć tysięcy atomobilów. Sześćset dwadzieścia atomowych samolotów. Nasz samolot A7 doleciał z Pragi do Melbourne w Australii bez zatrzymywania się. Pasażerowie wszyscy zdrowi. Oto depesza.

Prezes Bondy wyprostował się:

– No, drogi kolego, wszystko idzie wspaniale!

– W oddziale maszyn rolniczych pięć tysięcy zamówień. W oddziale małych motorów do napędu dwadzieścia dwa tysiące. Sto pięćdziesiąt atomowych czerpaków. Trzy atomowe prasy. Dwanaście atomowych pieców hutniczych. Siedemdziesiąt pięć atomowych stacji radiotelegraficznych. Sto dziesięć atomowych lokomotyw, wszystkie do Rosji. Założyliśmy generalne agentury w czterdziestu wielkich miastach. Amerykański Steel-Trust,

berlińska AEG, włoski Fiat, Mannesman, Greuzot i szwedzkie stalownie proponują fuzję. Koncern Kruppa kupuje nasze akcje po każdej cenie.

– Nowa emisja?

– Pokryta trzydziestopięciokrotnie. Gazety prorokują dwustuprocentową superdywidendę. Zresztą gazety nie piszą o niczym innym tylko o naszej sprawie: socjalna polityka, sport, technika, wiedza, wszystko to nic wobec Karburatora. Niemiecki korespondent posłał nam siedem ton wycinków, francuski cztery cetnary²⁸, angielski jeden wagon. Naukowa literatura specjalna, jaka ma się tego roku ukazać o motorze atomowym, będzie miała, według przewidywań, około sześćdziesięciu ton. Angielsko-japońska wojna została zlikwidowana wobec braku zainteresowania nią publiczności. W samej Anglii jest dziewięćset tysięcy górników bez pracy. W zagłębiu belgijskim było powstanie: około czterech tysięcy zabitych. Przeszło połowa kopalń całego świata wstrzymała eksploatację. „Nafta” w Pensylwanii podpaliła swoje przepełnione składy. Pożar trwa.

– Pożar trwa – powtórzył sobie prezes Bondy w rozmarzeniu.

– Pożar trwa. Dobry Boże, to znaczy, że wygraliśmy wielką stawkę!

– Prezes Związku Kopalń się zastrzelił. Giełda po prostu szaleje. W Berlinie stoimy dzisiaj ponad 8000. Rada ministrów zasiada w permanencji; chcą ogłosić stan oblężenia. Panie prezesie, to nie jest wynalazek, to jest przewrót!

²⁸ *cetnar* – daw. jednostka masy, ok. 50–60 kg. [przypis edytorski]

Prezes Bondy i generalny dyrektor MEAS spoglądali po sobie w milczeniu. Ani jeden, ani drugi nie był poetą, ale w tej chwili dusze ich śpiewały.

Dyrektor przysunął krzesło nieco bliżej i rzekł półgłosem:

– Panie prezesie, Rosenthal zwariował.

– Rosenthal? – zawołał G. H. Bondy.

Dyrektor przyświadczył z ponurą miną.

– Zrobił się z niego ortodoksyjny żyd. Uprawia talmudystyczną mistykę i kabałę. Dał dziesięć milionów na syjonizm. Onegdaj strasznie pokłócił się z doktorem Hubką. Bo, wie pan, Hubka przystał do Braci Czeskich.

– Nawet Hubka?

– Niestety. Sądzę, że do naszego zarządu zawlókł tę zarazę stary Machat. Pan nie był na ostatnim zebraniu, panie prezesie. Po prostu zgroza, co się działo! Wszyscy rozprawiali o religii aż do samego rana. Hubka złożył wniosek oddania naszych zakładów robotnikom. Na szczęście zapomnieli o głosowaniu nad tym wnioskiem. Byli wszyscy jak postrzeleni.

Prezes Bondy gryzł palce.

– Powiedzcie, dyrektorze, co mam z nimi zrobić?

– Hm. Zupełnie nic. To taka jakaś nerwica naszych czasów. Nawet w gazetach bywa tu i ówdzie coś w tym guście. Ale nie ma na to miejsca, bo całe gazety pełne są Karburatorów. Ogromna masa przypadków religiomanii. Jakaś epidemia psychiczna, czy co? Onegdaj widziałem doktora Hubkę. Stał przed bankiem Živno i wygłaszał kazanie do tłumu. Wzywał ludzi, aby

oświecili sumienia swoje i prostowali Drogi Pańskie. Okropnie mętna gadanina. Robił nawet cuda. Forst jest taki sam. Rosenthal zidiociał zupełnie. Miller, Homola i Kolator złożyli wnioszek dobrowolnego ubóstwa. Rady zarządu zwoływać już nie możemy. Dom wariatów, a nie rada zarządu, panie prezesie. Musi pan cały ten kram sam wziąć w ręce.

– Ależ to straszne, dyrektorze! – westchnął G. H. Bondy.

– Straszne. Czy słyszał pan o Banku Cukrowników? Tam wszyscy urzędnicy dostali ataku od razu. Pootwierali okna i rozdawali pieniądze wszystkim, co chcieli brać. Na dziedzińcu palili nawet – całe stopy banknotów.

– W Banku Cukrowników... Czy tam nie mają przypadkiem naszego Karburatora?

– Oczywiście, mają. Do centralnego ogrzewania. Bank Cukrowników pierwszy zaprowadził centralne ogrzewanie karburatorowe. Teraz policja Bank zamknęła. Bo nawet prokurenci i dyrektorzy dostali ataku.

– Panie dyrektorze, zakazuję dostarczania Karburatorów bankom.

– Czemuż to?

– Zakazuję i basta! Niech używają węgla!

– Trochę za późno. Wszystkie banki już instalują nasze ogrzewanie. W tej chwili zaprowadzamy je w sejmie i we wszystkich ministerstwach. Centralny Karburator na Sztwanicy²⁹ jest gotów i będzie oświetlał całą Pragę. Jest to

²⁹ Sztwanica, czes. *Ostrov Štvanice* – wyspa na Wełtawie w Pradze. [przypis

pięćdziesięciokilowy kolos, wspaniały motor. Pojutrze o szóstej wieczorem zostanie uroczyście puszczony w ruch w obecności głowy państwa, starosty miasta, miejskiej rady i przedstawiciele MEAS. Musi pan tam być. Pan przede wszystkim.

– Broń mnie Boże! – zawołał pan Bondy przerażony. – Nie, nie, broń mnie Boże! Ja tam nie pójdę!

– Musi pan, panie prezesie. Nie możemy posłać tam Rosenthala albo Hubki. Przecie to są wściekle wariaty. Wygadywaliby straszne rzeczy. Chodzi o honor naszych zakładów. Starosta miasta ma przygotowaną mowę ku uczczeniu naszego dzieła. Przyjdą przedstawiciele obcych państw i zagranicznej prasy. Ogromna uroczystość. Jak tylko na ulicach rozbłyszczą światła, orkiestry wojskowe zagrają na placach intrady i fanfary, będzie śpiewał Hlahol³⁰, Krzyżowski³¹, chór robotniczy i nauczycielski, będą fajerwerki i sto jeden wystrzałów z armat, oświetlenie Zamku i Bóg wie, co tam jeszcze. Panie prezesie, pan musi być obecny!

G. H. Bondy powstał udręczony.

– Boże, Boże mój – szeptał – jeśli możesz... odejmij ode mnie ten kielich...

– Przyjdzie pan? – nastawał nieustępliwy dyrektor.

edytorski]

³⁰ *Hlahol*, właśc. *Hlahol pražský* – chór mieszany założony w Pradze w 1861 r. i istniejący nadal w XXI w. [przypis edytorski]

³¹ *Krzyżowski* – w wersji czeskiej: *Křížkovský*; tu mowa o istniejącym w latach 20. XX w. w Pradze towarzystwie śpiewaczym, którego patronem był XIX-wieczny czeski kompozytor Pavel Křížkovský (1820–1885). [przypis edytorski]

– Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił – westchnął G. H. Bondy.

8. Na bagrownicy

Koło Sztiechowic³² stała bagrownica ME 28, znieruchomiła w wieczornym zmierzchu. Paternosterowa³³ draga³⁴ już dawno przestała wynosić chłodny piasek z dna Wełtawy. Wieczór był ciepły i bezwietrzny, pachnący skoszonymi trawami i wydechem lasu. Północny zachód jeszcze trochę płonął słodkim pomarańczowym blaskiem. Tu i ówdzie błysnęła fala boskim poblaskiem odbijającym niebiosa. Zajaśniała, zaszumiła i rozlała się w fosforyzującej gładzi wodnej.

Od Sztiechowic zbliżało się do bagrownicy czółno. Płynęło wolno, zmagając się z bystrym prądem, czarne na jaśniejącej rzece niby duży robak wodny.

– Ktoś jedzie do nas – ozwał się spokojnie bagrownik Kuzenda, siedzący na burcie bagrownicy.

– Dwóch – rzekł po chwili maszynista Brych.

– Ja już wiem, kto jedzie – rzekł pan Kuzenda.

– Kochankowie ze Sztiechowic – rzekł pan Brych.

– Muszę ugotować dla nich kawy – zdecydował pan Kuzenda i poszedł na dół.

³² *Sztiechowice*, czes. *Štěchovice* – miasteczko w Czechach nad Wełtawą, ok. 30 km na południe od centrum Pragi. [przypis edytorski]

³³ *paternosterowa* – odnoszący się do łac. *Pater noster*, pierwszych słów modlitwy *Ojcze nasz*. [przypis edytorski]

³⁴ *draga* – pogłębiarka. [przypis edytorski]

– No więc, dzieci! – wołał Brych w kierunku czółna. – W lewo! W lewo! No, kobieto, podaj mi rękę, o tak! I siup na górę!

– Ja i Pepek – mówiła dziewczyna, stojąc już na pokładzie – my... myśmy chcieli...

– Dobry wieczór – witał się młody robociarz, stając tuż za nią.
– Gdzież to pan Kuzenda?

– Pan Kuzenda gotuje kawę – rzekł maszynista. – Siadajcie, o, patrzcie, ktoś do nas płynie. To wy, piekarzu?

– To ja – ozwał się głos. – Dobry wieczór, panie Brych. Wiozę do was pocztowca i pana gajowego.

– No to chodźcie na górę, bracia – rzekł pan Brych. – Gdy pan Kuzenda ugotuje kawę, zaczniemy. Kto przyjdzie jeszcze?

– Ja – odpowiedział głos z boku bagrownicy. – Pan Hudec chciałby was także posłuchać.

– Witam pana, panie Hudec – mówił maszynista, pochylając się na dół. – Chodźcie na górę, tu jest drabinka. Poczekajcie, panie Hudec, zaraz wam podam rękę, bo pan tu jeszcze nie był.

– Panie Brych – wołali z brzegu jacyś trzej ludzie – niech pan pośle po nas czółno. Dobrze? Chcielibyśmy dostać się do was.

– Zajedźcie po nich, wy tam na dole! – rzekł pan Brych. – Niech się każdemu dostanie Słowa Bożego! Siadajcie, bracia, i ty, siostró. Nie ma u nas brudu od czasu jak opalamy maszynę Karburatorem. Brat Kuzenda przyniesie wam kawy, a potem zaczniemy. Witam was, młodzieńcy. Pójdźcie na górę!

Potem pan Brych stanął nad otworem wiodącym po drabinie na dół i zawołał w głąb bagrownicy.

– Halo, Kuzenda! Dziesięciu na pokładzie.

– Dobrze! – odpowiadał z głębi głuchy głos. – Już niosę kawę.

– Więc siadajcie – zwrócił się gorliwy głos Brycha do przybyłych. – Panie Hudec, my tu mamy tylko kawę; myślę, że to pana nie obrazi.

– Skądże! – zastrzegął się pan Hudec. – Chciałem tylko zobaczyć waszą – wasz – wasze posiedzenie.

– Nasze nabożeństwo – łagodnie poprawił go pan Brych. – Wie pan, my tu wszyscy jesteśmy braćmi. Trza panu wiedzieć, panie Hudec, że ja byłem alkoholik, a Kuzenda robił politykę, ale spłynęła na nas łaska. A ci bracia i siostry – mówił wskazując wokół – jeżdżą do nas co wieczór, aby się modlić o podobny dar ducha. Na przykład ten piekarz miał duszności, a Kuzenda go uzdrowił. No, powiedzcie, piekarzu, jak to było.

– Kuzenda wkładał na mnie ręce – mówił piekarz z cichym uniesieniem – i nagle rozlało mi się w piersi takie ciepło. Wie pan, coś we mnie jakby stuknęło, a ja zacząłem oddychać, jakbym latał po niebie.

– Zaraz, mój piekarzu – poprawił go Brych. – Kuzenda nie wkładał na was rąk. Przecie nie wiedział, że robi cud. Tylko zrobił ręką taki znak, a wyście potem powiedzieli, że możecie oddychać. Tak to było.

– My byliśmy obecni przy tym – opowiadała dziewczyna ze Sztiechowic. – Pan piekarz miał taki blask dokoła głowy. A mnie pan Kuzenda zażegnał potem suchoty³⁵. Prawda, Pepku?

³⁵ *suchoty* (daw.) – gruźlica płuc. [przypis edytorski]

Młodzieniec ze Sztechowic rzekł:

– To najczystsza prawda, panie Hudec. Ale dziwniejsze jest to, co się stało ze mną. Ja nie byłem porządnym człowiekiem, panie Hudec. Siedziałem też już w kryminale, wie pan, za kradzież i jeszcze za coś. Pan Brych mógłby panu dużo powiedzieć o mnie.

– E, co tam! – machnął Brych ręką. – Brakło panu tylko łaski. Ale tutaj, na tym miejscu, dzieją się dziwne rzeczy, panie Hudec. Może i sam pan to poczuje. Brat Kuzenda umie to powiedzieć, ponieważ dawniej bywał na wiecach. Patrzcie, już idzie.

Wszyscy odwrócili się ku otworowi, który prowadził z pokładu do maszynowni. Z otworu wynurzyła się brodata twarz z wymuszonym, zakłopotanym uśmiechem kogoś, kto jest od tyłu popychany i udaje, że nic o tym nie wie. Kuzendę widać było aż po pas. W obu rękach niósł duży kawał blachy, a na nim garnuszki i puszki od konserw. Uśmiechał się niewyraźnie i wznosił się stale. Już ukazały się jego stopy, a pan Kuzenda wznosił się wciąż jeszcze coraz wyżej i wyżej ze swoimi garnuszkami. Dopiero o jakieś pół metra nad otworem zatrzymał się, niezgrabnie szukając stopami oparcia dla nóg. Wisiał swobodnie w powietrzu i widać było jak się wysiła, aby nogami dotrzeć do ziemi. Pan Hudec był jakby omamiony.

– Co się panu stało, panie Kuzenda? – zapytał wystraszony.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.